

KRYSTYNA FRANK ur. 1915; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Lubelskie kawiarnie i cukiernie
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lubelskie kawiarnie i cukiernie

Lubelskie kawiarnie i cukiernie

W Lublinie na Krakowskim Przedmieściu były cztery cukiernie: pierwsza Chmielewskiego, druga Semadini, którą prowadził Domański, trzecia Rozbusa, czwarta Rutkowskiego. To były te cukiernie na Krakowskim. Różne ciastka były w różnych cukierniach smaczne. U Rozbusa były wspaniałe rurki nadziewane kremem, takim z alkoholem. Rożki i napoleonki były dobre. Nie chodziło się kupować na wynos do Rutkowskiego. To była raczej kawiarnia i tam się tylko jadło. Piło się kawę, którą podawano we francuskich „ekspresikach” do parzenia. Parzyło się i podawało w tym na stół. Kiedy to już przeciekło, byli tacy panowie u Rutkowskiego, którzy prosili kelnera, żeby dolał im wody. Wtedy jeszcze raz się przepłukiwało kawę. Ten zwyczaj został nazywany od nazwiska Żyda, dyrektora Banku Polskiego - Wajsberga. On bywał u Semadiniego albo u Rutkowskiego. Picie kawy miało swój rytuał. Kawę piło się ze śmietanką. Do Rutkowskiego przychodzili adwokaci. Była u niego też weranda obrosnięta winem i tylko oficerowie mogli na niej przebywać. Do kawy nic się nie jadło. Po co? Tam się szło, żeby pogadać, na ploteczki i żeby przeczytać gazetę, bo gazety były we wszystkich cukierniach i u Chmielewskiego i u Semadiniego i u Rutkowskiego. Gazety przywiązywano na specjalnych drutach, żeby nikt nie ukradł. My do tych cukierni nie chodziliśmy, dziewczyny i chłopcy ze szkoły nie chodzili. Nie wolno było, chyba że czasem z rodzicami. Myśmy czasem chodzili do Pachuty. To była taka ciastkarnia i tam chłopcy biegali na pączki i na olbrzymie ptysie. Pączki podawano tylko w karnawale. Żaden szanujący się cukiernik nie smażył pączków poza karnawalem, ani chrustu. To były typowo karnawałowe wypieki. Tak samo jak pierniki i strucle. Były na Boże Narodzenie i do Trzech Króli. Tak samo jak babki i mazurki piekło się na Wielkanoc i sękacze, tak samo i tutaj. Ciasta z owocami piekło się w lecie: szarlotki z galaretkami owocowymi, babki śmietankowe... Była taka cukierenka, właściwie sodówka - „Bombonierka” na Krakowskim Przedmieściu, mniej więcej przed delikatesami. Tam się chodziło na doskonałe wafle przekładane z masą czekoladową, taką, jak się robi do wafli maślanych. Ale to było tak świeżusieńkie! Starsze dwie panie to prowadziły. I one z tego żyły. Na Kościuszki, u Kapucynów był taki barak duży i tam na cały sezon letni przyjeżdżali Włosi i lody sprzedawali. Najlepsze lody to były włoskie. Oni rozmawiali po włosku. Lody jadło się tylko czasem, jak ktoś zafundował. Lody, to wtedy były drogie rzeczy. Kawiarnia Chmielewskiego Rano do Chmielnickiego przychodzili panowie, którzy przyjeżdżali do Lublina albo mieszkali gdzieś w sublokatorskich pokojach. (...) Ponieważ na stacji nie dawano lokatorom wyżywienia, na posiłki chodzili do kawiarni najczęściej. Chodzili tu

i do chodzili do Josta. To była taka jadłodajnia jarska. Dzisiaj to byśmy powiedzieli, że dietetyczna - na Krakowskim, koło Hotelu Europa. Ostatni dom przed kawiarnią Semadiniego. U Chmielewskiego panowie pili kawę ze śmietanką i jedli kawałek ciasta na śniadanie. Tę śmietankę do kawy ubijało się w bemarkach. Była również czekolada, kakao i herbata. Herbata parzono w imbryczkach i nalewano do szklanek. Wtedy dużo jeszcze szklanek używali. Były małe szklaneczki i duże szklanki. Filiżanki dopiero później wróciły. Rano jadano najczęściej kawałek babki drożdżowej. Babki zawierały dużą ilość rodzynek. Później dopiero pieczono babki z otworami, z tymi kominkami, ale to już dużo, dużo później. U Chmielewskich stał także bilard. Na górze, nad cukiernią była olbrzymia sala bilardowa. Trzy stoły bilardowe. One zachowały się do czasów okupacji, gdy zabrano lokal. Kiedy je wynieśli to nikt nie wie. A stoły do gry były olbrzymie. My też czasem tam grałyśmy. Pracowało dwóch „maklerów”, którzy pilnowali, bo przecież klienci niszczyli bardzo. A jak się kijem pociągnęło i zrobiło się dziurę to było bardzo ciężko zbierać na takie zielone sukno. Bile były z kości słoniowej, piękne. Część z nich jest w Kozłówce. W południe czasem ktoś przychodził na herbatę, pogadać i gazetę poczytać. Często przesiadywał pan Osiak, który przyjechał po wojnie z Łukowa, antykwariat miał przed Gacką. Kiedy on przyjeżdżał, to zawsze przychodził na śniadanie. Przychodziło kilku malarzy m. in. pan Żółkowski, przychodził pan Kramkowski - kierownik księgarni Świętego Wojciecha. On jak przychodził na kawę rano, to przynosił dwie trzy książki i pod pachą, te najnowsze i dawał mojemu bratu ciotecznemu Józkowi Chmielowskiemu: „Niech sobie pan przejrzy”, i potem wychodząc pytał: „Które pan kupuje?”. Ja, jak pracowałam, to mnie też dawał do przejrzenia książki. Zwykle na podwieczorek schodził mój wujek i prosił o dobrą kawę. Wiedzieliśmy, że kawa musiała być gotująca. Ja wychodziłam z kasy, robiłam dwie szklanki kawy ze śmietanką i przynosiłam wujkowi. Dla niego ona często była za zimna. Kiedyś - to już się trochę rozeźliłam. Zagotowałam, wyparzyłam szklankę i postawiłam. Przychodzi, a wujek postawił szklankę na stoliku marmurowym. Ja mówię „Wujku, pęknie szklanka, albo kawa będzie zimna”, a wujek powiedział „no, chociaż raz mam gorącą!”. Zwykle na podwieczorek jedliśmy kawałek babki i kawę żeśmy pili. Ja jadłam ciastka. Wolno mi było. Kiedyś wujek złapał mnie na tym. Ja jadłam ciastka najsmaczniejsze, najdroższe. Najbardziej lubiłam mikadę, teraz nie ma takiej. Cieniusieńkie plasterki kruchego ciasta przełożone doskonałym kremem czekoladowym z alkoholem. Z wierzchu polewą był karmel, który zastygał. To wyglądało jak szkło. Te ciastka dużo kosztowały. Kiedy wujek zwrócił mi uwagę, ja powiedziałam: „niech już wujek nic nie mówi, przecież ja jestem chrześną córką cukiernika”. Pieczono wtedy wiele ciastek, których dziś już nie ma: kruche babeczki, w których z dużą ilością kremu i zawsze jakieś owoce, albo truskawki i to było jeszcze zalane galaretką. Aidki smakowały wybornie, ptysie były niesamowite, eklery i napoleonki z francuskiego ciasta przełożone konfiturą. Przed wojną szarlotka była zawsze w sezonie a u wujostwa także z czarnych porzeczek i z rabarbaru. Jeśli chodzi o torty, to muszę powiedzieć, że dawniej się nie piekło. W czasie okupacji, kiedy pracowałam w cukierni, Niemcy przychodzili do Chmielewskiego. Jak były łapanki, to bardzo często wpadli i brali kogoś, ale na ogół oni do kawiarni nie wpadali. Myśmy wiedzieli zaraz, bo na ulicy panował krzyk.

Data i miejsce nagrania	2002-09-10, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Grudzińska
Transkrypcja	Marta Grudzińska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"